XXVII. Kraków, 15 czerwca 1924 r. Nr. 12.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 95 (dom własny) Telefon Nr. 479

PRENUMERATA miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł. 40 groszy — Zagranicą podwójnie. W Ameryce rocznie 8 dolarów.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

CENY OGŁOSZEŃ: w części inseratowej na stronie 7-ej za 1 wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 15 groszy, cała stronica Zł. 200.—, pół stronicy Zł. 100·—, jedna czwarta Zł. 55·—, jedna ósma Zł. 30·—, jedna szesnasta Zł. 20·—, w części redakcyjnej na str. 2, 3, 4, 5 i 6 tekstu za 1 wiersz milimetr. jednoszpaltowy 40 groszy; maksymalnie pasek 40 mm. wysokości, 25 cm. długości Zł. 46·—. — Ogłoszenia zagraniczne 100% drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce, należytość za klisze według cen bieżących obecnie Zł.—, 15. za cmt. kwadratowy. — Ogłoszenia kolorowe 100% drożej.

Numer pojed. 75 groszy W Warszawie do nabycia wszędzie. W Łodzi Biuro dzienników „Promień" Piotrkowska 51

U doktora.



— Tak się boję okropnie, czy nie jestem chora?
Ach kochany doktorze, niech pan dobrze słucha...
Tylko... że... ja tak zawsze wstydzę się doktora.
Aj! pan mnie tak łaskocze jak niegrzeczna mucha.

— Proszę pani... spokojnie! Nic pani nie zrobię...
Wstrzymać oddech. Tak. Dobrze...—„Wstrzymałam. Czy jeszcze?"
— Proszę złożyć na piersiach cudne rączki obie...
— Oh, doktorze.. tak dziwne przechodzą mnie dreszcze...

— Niechże pan mnie okryje, bo mi chłodno trochę
tak siedzieć na tym stołku bez żadnej sukienki,
— „Pani jest całkiem zdrowa, ale serce płoche
przyprawia pani ciało o miłosne męki.

Opukał ją starannie i zbadał dokładnie,
Pocałował jej rączkę. Roześmiała się pusta.
— O zapłatę i wdzięczność proszę panią ładnie...
— Niechże mnie pan, doktorze pocałuje w usta..

Usłyszał.

Dyrektor X. opowiadał w kasynie:
— Mam stróża... pardon!... dozorcę domu, który słynie ze swojej niespożytej ordynarności, mrukliwości i niewdzięczności.
...Za otwarcie bramy dawałem mu zawsze wprost królewski napiwek, a jednak nigdy nie usłyszałem nawet jednego słówka podzięki.
Pomyślałem sobie, że może ów napiwek wydaje mu się za mały i podwoiłem kwotę.
Stróż ani mruknął.
Chciałem za wszelką cenę przywieść tę hardą łepetę do wypowiedzenia słowa podzięki pod moim adresem i pewnego wieczora potroiłem napiwek.
Stróż ani dudu...
Aż wczoraj.. Wczoraj wepchnąłem mu przeszło 10 miljonów w łapę i pilnie nadstawiam ucha, czy nie usłyszę choć słowa: „dziękuję!"... Nic! Tego słowa nie usłyszałem. ale za to stróż trzasnął gwałtownie drzwiami i powiedział pod nosem:
— Stary warjat!..

Jak odróżnić grzyby trujące?

— Jak można rozróżnić dobre grzyby od trujących?
— Bardzo łatwo!... Grzyby nazbierane w lesie należy ugotować, przed spożyciem zaprosić teściową, której owe grzyby w pokaźnej ilości należy podać do zjedzenia...
— No i co dalej?...
— Nic... jeśli teściowa zje te grzyby i na miejscu padnie trupem wskutek otrucia, to te grzyby są... dobre.

Złośliwy.

Pewna pani przychodzi do lekarza i pyta:
— Proszę mi poradzić, gdyż mąż mój często we śnie mówi.
— Musi mu pani w ciągu dnia pozwolić od czasu do czasu przyjść do słowa — to wystarczy.

Wesoły rogacz.

Pan Naftali Klops mieszka naprzeciw pana Abrahama Puryca, tak że z okien jego widać wszystko co się w mieszkaniu tamtego dzieje. Razu pewnego Naftali wchodzi do salonu i widzi, że trzy jego jedyne i nadobne córy siedząc w oknie z niepowstrzymaną ciekawością i wypiekami na jagodach przypatrują się dziwnym rzeczom odbywającym się w mieszkaniu pana Puryca.
A był to już zmrok...
Pan Naftali zbliżył się do okna i spojrzał.
— Aj — złapał się za głowę — moje córki, wy należycie się stąd wyjść! Natychmiast! Bez żaden kawałek apelacji!
Córki przerażone zbiegły.
Nic dziwnego, że przeraził się pan Naftali ogromu zgorszenia jakie siał na jego rodzone córki sąsiad z naprzeciwka i znajomy pan Abracham Puryc. Przy blasku elektrycznej lampy widział bowiem pan Klops całą orgję małżeńską nieprzyzwoitego sąsiada.
Na drugi dzień spotykają się nos w nos.
— Pan Puryc, pan mógłbyś spuścić store w okno.
— Za co store? Dlaczego store?
— Pan przestałbyś gorszyć moje żeńskie dziatki!
— Jakie gorszyć, panie Klops?
— U pana dzisiaj w nocy było wszystko widać! A u pańskie żone to tyż było wszystko widać! Pan sobie robi „noc poślubne" przy otwartym widoku... Fe wstydź sze pan Puryc! Pan nie jesteś przyzwoity getleman!!!
— Co pan sze rzuci? Hahaha...
I pan Abraham zatoczył się od śmiechu.
— Dlaczego on sze śmieje? — pyta wściekły Naftali.
— Ha ha ha! Dlaczego ja sze śmieje?! Mnie nie było w domu całą noc. Ja dopiro rano powróciłem z podróży!...

Polacy w Nicei.

Nasz koń „Jasiek" zuch nielada
na zwycięstwo rży po błoni
Furda cała Olimpjada
wobec naszych polskich koni.
Lecz zuch koń bez jeźdźca zucha,
nic nie znaczy, rzecz to znana.
A więc okrzyk „cześć!" niech bucha
na cześć jeźdźca — jego pana.
Polski żołnierz na igrzyskach
jak huragan rwie do startu!
Skok nie djabeł, meta blizka...
To mi „dżokiej", daj go czartu!
Tam w Nicei damy strojne
krzyczą: „Vivat Polak młody!"
Chodził „Jasiek" nasz na wojnę,
teraz bierze wskok przeszkody.
Panie, panny i panienki
przytrzymują serca dłonią,
wiatr rozwiewa im sukienki
gdy Polacy w szranki gonią.
Okrzyk „hura" niebem wstrząsa
na „Riviery" jasnym Brzegu —
gdy na koniu Polak pląsa
nie prześcignie go nikt w biegu.
Stawcie sto najlepszych koni
i przeszkody aż po gwiazdy
puśćcie rzekę wpoprzek dłoni
wszystko nic dla naszej jazdy!
Za rok znowu piękne panie
nowy cud wam olśni oczy
gdy nasz zuch do biegu stanie
na sto metrów w górę skoczy.

Troskliwy ojciec.

Mecenas Popijałko miał t. zw. „trzydniówkę", to znaczy, że przez trzy dni i noce zapijał się po handelkach, aż wreszcie skruszony i złamany dowlókł się czwartej nocy do domu. Obawiając się grubszej awantury ze strony słusznie rozgoryczonej pani Popijałkowej, zdjął w kurytarzu trzewiki z nóg i tylko w skarpetkach wślizgnął się do pokoju, aby nie obudzić śpiącej żony.
Z niekłamanym strachem począł się mecenas Popijałko zbliżać do łoża małżeńskiego, gdy raptem przyszła mu zbawcza myśl do głowy, aby zająć się kołysaniem dziecka, które spało w kołysce. Mecenas Popijałko wykalkulował sobie, że gdy żona się obudzi i zastanie go kołyszącego dziecko, to zmityguje się i gniew jej zniknie wobec rozczulenia na widok ojca kołyszącego swoje dziecko.
Jak pomyślał, tak zrobił. Począł lekko kołysać dziecko w kołysce i cicho mu nucić kołysankę. Kołysał godzinę, dwie, trzy — aż wreszcie poczęło go to irytować i chrząknął głośno.
— Już wróciłeś, pijaku? — spytała mile przebudzona żona.
Panem Popijałką owładnął gniew.
— Nie masz się czego irytować! — zawołał sam poirytowany — ja już pół nocy kołyszę to dziecko nieszczęśliwe. Ładna z ciebie matka! Suka aba więcej o swoje szczenię! Dziecko mogłoby umrzeć dwa razy, a ty ani się przebudziszł... Pół nocy już je kołyszę, a ty sobie śpisz w najlepsze!... Wstyd!
— Ależ pijaku — zawołała pani Popijałkowa — kogo ty kołyszesz? Przecież dziecko leży koło mnie!...

Dobra rada.

W zacisznym gabinecie siedzą ona i on.
— Jestem śmiertelnie znużony. Z moim kasjerem szukaliśmy parę godzin, gdyż w kasie jest 10 miljardów więcej.
— Wiesz co? Kup mi kolję brylantową, a kasa ci się będzie zgadzać.

Pies.

A: Ależ człowieku, przecież ty masz całą twarz podrapaną?...
B: Widzisz.. Gdy wróciłem wczoraj późno w nocy do domu, mój własny pies, nie poznawszy mnie, skoczył mi na twarz i podrapał tak haniebnie...
A: O, jabym się z takim psem zaraz rozwiódł..

Między literatami.

— Bój się Boga chłopie, jak ty się nie wstydzisz chodzić w takich połatanych portkach?
— Dlaczego mam się wstydzić? Albożto moje portki?...

Najnowsze samobójstwo.

Iść do Steinacha, dać się odmłodzić i jako embrjon w 3-cim miesiącu ciąży zrobić sobie samemu skrobankę.

Źle się wyraził.

Weterynarz: (do wieśniaka): Przyznaję, że teraz są kiepskie czasy, mój gospodarzu... Nadomiar zaraza bydlęca wyniszczyła połowę bydła w powiecie...
Gospodarz: Oby choć Bóg wielmożnego pana w zdrowiu zachował!...

W teatrzyku.

Aktorka (wygłasz jąc swoją rolę na scenie): Ach, Boże! Gdzie teraz może być moja matka?...
Głos z galerji: W kryminale, za pasek!

U rabina.

Rebeka Sauerteig przyszła do rabina, aby uzyskać rozwód ze swoim mężem. Rabin, jak zwykle, usiłuje ją powstrzymać od tego kroku i pyta o przyczyny dla których chce rozwód.
— Proszę rebego — mówi Rebeka — ja się wstydzę podać te przyczyny.
— To napisz mi na karteczce — mówi rabin.
Po chwili Rebeka podaje rabinowi kartkę. Rabin ze zdumieniem otwiera kartkę i widzi, że Rebeka nie napisała ani jednego słowa.
— Ależ tu nic nie stoi! — mówi rabin.
— Właśnie dlatego ja chciała rozwodu! — mówi zapłoniona Rebeka.

Ciuciubabka.

Sara: (budząc w nocy męża) Salomon ty śpisz?...
Salomon: Nu?...
Sara: (nakrywa sobie głowę kołdrą) Załóżmy się Salomon, że ty mnie nie znajdziesz.
Salomon: A ja się z tobą założę, że ja ci szukać nie będę.

W hotelu.

— Jakże pan dobrodziej spał tej nocy? — pyta portjer.
— Dziękuję. Ja spałem dobrze, ale pluskwy to oka nawet nie zmrużyły.

W parku.

(Podsłuchane).

On: A więc...
Ona: Nie mogę.
On: Gadanie.
Ona: Słowo ci daję.
On: Czemu?
Ona: Ba!
On: Co, ba?
Ona: Nie.
On: Koniecznie.
Ona: Niekoniecznie.
On: Za żadną cenę.
Ona: Za żadną.
On: E?
Ona: Nie.
On: Naprawdę?
Ona: Naprawdę.
On: Słowo dajesz.
Ona: Słowo.
On: Że za żadną cenę?
Ona: Za żadną.
On: A więc pięćdziesiąt miljonów.
Ona: ...To co innego.

Wycieczka do Tyńca.

(Ciąg dalszy)

IV.

Mały Jaś, najmłodszy potworek z familji Paluszkiewiczów nigdy jeszcze nie był na wycieczce. Chodził już wprawdzie na spacer na Błonia i pod Kopiec, gdzie zbijał bąki i grał w „szmaciankę", ale tak długa i niezwykła wyprawa była dlań wydarzeniem z nieprawdziwej opowieści.

Woda.

Dziwna rzecz woda.

W miednicy to wygląda całkiem bezpiecznie, choć i tam zimne, a myć się trzeba — ale tu, na tem wielkiem morzu, po którem płyną przybrała na się kształt niesamowity i groźny.

Bo małemu Jasiowi wydaje się, że na wzór opowieści o wielkich podróżnikach, żegluje po otwartem morzu w poszukiwaniu strasznych przygód.

— Ciekawy jestem, co teraz będzie. Narazie jestem Robinsonem i pływam sobie po morzu. Za chwilę okręt puknie o kamyk, stłucze się, jak ta karafka z kredensu i wskoczy na dno. Mamusia i tatuś będą tonąć — ale że mamusia jest gruba jak bania i tłusta, jak kotlet wieprzowy to wypłynie na wierzch, jak oliwa i będzie się trzymać na powierzchni. Przy sprzyjających wiatrach gotowa dopłynąć daleko i może jeszcze odkryje takie drugie „coś" w rodzaju Ameryki.

Tu drobny Jaś zakrztusił się z zadowolenia.

— Hi hi hi — marzył, patrząc we fale Wisły. - Co to jeszcze może być? Jak mama odkryje Amerykę, to będzie sławna i urządzą jej wjazd tryumfalny.

I tu widzi mały synek wielkiej matki oczyma duszy wspaniały, olśniewający wjazd pani Columbus-Paluszkiewiczowej w mury Krakowa. Jedzie sobie, jedzie na rydwanie zaprzężnym w dwa krakowskie tramwaje, które co chwilę stają dęba, jak stepowe rumaki. Naprzeciw mamy wychodzi tłum Krakowiaczków i Krakowiaczek, z panem nauczycielem na czele, darząc ją chlebem i solą. Zjadła 5 koszów chleba i pół Wieliczki soli.

— O, moja mama tęgo wcina — mruczy Jaś z uznaniem. — Wczoraj był barszcz z „rułą", to wlała sobie pół baniaka przez buzię do brzucha.

Ale tu przypomniał sobie znów o niebezpieczeństwie podróży.

— Jak utoniemy, to tatusia połknie ryba, ta sama, co zjadła Jonasza. Tatuś jednakże jest człowiekiem odważnym i z „charakterem" (mama mi to w tajemnicy mówiła) więc w żołądku ryby urządzi t. zw. „rewolucję pałacową" — i tak ją będzie kluć, kąsać, drapać i szczypać, aż ryba zwymiotuje tatusia na dno morza, gdzie zostanie królem podwodnym. Ja tymczasem będę Robinsonem i kupię sobie Piętaszka (w sklepie ze zabawkami) i będę zamieszkiwać na odludnej wyspie. To musi być przyjemnie mieszkać na odludnej wyspie. Ho ho. Myć się nie trzeba, uczyć zupełnie nie, słuchać nikogo też nie trzeba i można sobie spokojnie rozmyślać. To coś tak jak w „00", gdzie jest też okropnie przyjemnie.

I byłby tak dalej myślał, gdyby nie to że... Rozległ się krzyk rozdzierający i pani Paluszkiewiczowa całkiem niespodziewanie powiła nowego bliźniaczka. Wylazł tylko jeden, bo drugi dostał się do kiszek i został strawiony.

Przybiegł pan Paluszkiewicz i płakał.

— Znowu? — pytał ponuro i smutno.

— Och, znowu! — jęczała dostojna małżonka. — U mnie to już tak z nałogu.

— Nowy utrzymanek na kieszeni biednego ojca. Na łądzie ci nie dosyć, że rodzisz nawet na wodzie? Kobieto, kobieto przestań, nie utrudniaj!

Tu porwał w garść noworodka w zamiarze złym, a mianowicie w celu wrzucenia go do Wisły.

— Stój! — ryknął kapitan z zawodu monter. — Puść to ciało! To ciało powstało na moim statku i należy do mnie!

Zbiegli się wszyscy marynarze i porwawszy na ramiona kapitana wraz z dzieckiem obnosili go w paradzie po pokładzie wśród dzikich, okropnie dzikich okrzyków radości.

— Dziecko okrętu! — wołali. — Ono nam szczęście przyniesie!

Następnie usiedli w kucki naokoło kapitana i urządzili ucztę na cześć noworodka.

Kapitan pierwszy wzniósł zdrowie malca i wychylił duszkiem litr spirytusu, który uderzył mu zaraz do nóg, do brzucha i do głowy — a za jego przykładem pili dzicy, opaleni majtkowie jedni w majtkach, a drudzy bez majtek. Wypili bardzo wiele, bo całą beczkę alkoholu. ale nie upili się jeszcze, bo marynarze mają tęgie głowy.

Tymczasem obcokrajowcy zlękli się bardzo i zbili w ciasną trzodę na dzióbku paros'atku szwargotając modlitwy i prosząc Boga o pomoc w strasziiwem niebezpieczeństwie.

— Srul, ty spoglądnij co się tu dzieje? To jest gewalt, to jest przerażenie, to jest nie do wytrzymania. Tu sze robi zaniesienie na wielgi przygody...

— Wszyscy razem, swój do swego, trzymać si za pejsy. Jak te majtki się zaleją to przeko pyrtną ten pancernik i bedzi nieszczęście. Ratuj sze kto może!

— Icek, ty skakaj na wode...

— Uj, ja nie pływający...

— To ty sze łap za kółko poratunkowe!

— Ja sze przysuwam do te kobite.

— Ty głupi, ona jest po nowonarodzeniu. Ty jej nie możesz sze czypiać za nogi, ona jest słaba...

— Ale ona pływa, jak wieloryb, albo inna ryba.

W pięć minut potem wybuchł bunt marynarzy. Na komin wylazł kucharz okrętowy i krzyczał:

— Towarzysze, tak nie może być! Co jest u cholery? To my będziemy wozić te endeckie pasażery, a oni się będą wylegowiwać brzuchem na dół, lub do góry? Nie! Towarzysze, ja was wzywam! Wywieście sztandar czerwony na maszcie i popłyńmy sobie w raj komunistycznego ustroju. Pasażerowie nam będą służyć...

— Hańba im!!!

— Marsz do roboty, darmozjadki! Podłogę szurować, kominy czyścić, w piecyku palić, obiad gotować...

— Hańba im! Do roboty!!

Wtem kucharz okrętowy znikł w kłębach dymu i wyleciał w powietrze, jak z procy.

— Aaa! — ryknęli wszyscy przerażeni.

To bohaterski kapitan Wojciech Pośladek z zawodu monter puścił parę i dym fuknął całą masą z komina, a wyrzucony w górę siłą pary agitator zawisł na chwilkę w niebie, poczem zleciał na łeb na szyję do Wisły o 50 metrów od okrętu.

Ale wówczas majtkowie wściekli się i zaczęli rzeź pasażerów. Nikogo wprawdzie nie zamordowali, ale wszystkich potłukli pięściami i zmusili do kapitulacji. Jedni tylko Czarnogórcy okazali się bohaterskim narodem. Zbici w kupkę, jak Spartanie w Termopilach wydając straszne okrzyki bojowe rzucili się do ataku grzmocąc, tratując i miażdżąc wszystko i wszystkich po drodze. Pięć razy przebiegli pokład tam i z powrotem, dopóki nie oczyścili go z buntowników, a wówczas wznieśli trzykrotny okrzyk na cześć króla czarnogórskiego i zajęli statek, wywieszając na nim swoją narodową flagę.

Państwo Paluszkiewiczowie z dziećmi stanęli na jednym końcu statku, obcokrajowcy rodzaju semickiego na drugim, a Czarnogórcy dumnie zajęli środek.

Pośród tego wszystkiego okręt nie posunął się ani o włos naprzód, gdyż obsługa przestała działać. Czarnogórcy próbowali poruszyć go z posad, ale były to wysiłki Tantala. Statek pchnięty siłą pary puszczonej nagle posuwał się o metr, ale zaraz się o dwa cofał. Wobec tego powstał projekt by panią Paluszkiewiczową puścić na wodę, jako holownik i dmuchać w jej spódnicę, jak w żagiel, co zdaniem Izraelitów spowodowałoby ruch okrętu. Jednakże kobieta, dowiedziawszy się o tych niecnych knowaniach zemdlała i zamiar spełzł na niczem.

V.

Kucharz Czarnogórski zgotował na prędce obiad. Skutki tego były straszne.

90% załogi i pasażerów zległo w potwornych boleściach żołądka na pokładzie i wili się nieszczęśliwi, jak węże, wrzeszcząc w niebogłosy. Co to było? Jak to było? dlaczego? — dotychczas nie wiadomo. Kucharz był laik i zaprawił zapewne potrawy czemś niejadalnem.

Tymczasem marynarze, ci pobici i uwięzieni marynarze, — którym los oszczędził tej przygody, bo za karę — nie dano im obiadu — słysząc co się dzieje, zerwali pęta i wdarli się z powrotem na pokład, krępując wszystkich obolałych Czarnogórców ich własnymi szelkami od spodni. Następnie wywlekli z czeluści statku kapitana, który z obawy przed zemstą za wystrzelenie w powietrze kucharza, skrył się w pace od węgli i tam drżał ze strachu tak, że paka razem z nim skakała po podłodze palarni tańcząc taniec św. Wita. Potem poznali marynarze, gdzie się ukrywa ich przywódca i wyciągnęli go z pudła, poczem zamorusanego i czarnego jak kominiarz wciągnęli na pokład.

Tu przywiązali go do męczeńskiego słupa czyli do masztu i zatańczyli pląs wojenny.

Pod słupem mieli już zamiar rozpalić ognisko, by upiec swojego kapitana na wolnym ogniu — ale wtem powiał silny wiatr i zdmuchnął im wszystkie zapałki i zapalniczki.

Okręt ruszył sam z miejsca.

Pędzony siłą straszliwego huraganu poleciał po falach, jak student na randkę i skacząc, chwiejąc się, poddrygując zbliżał się ku brzegom majaczącym w oddali o 30 kroków męskich od środka rzeki.

— Do lin, do steru, do żagli — huknął kapitan z męczeńskiego słupa.

Odwiązali go więc czem prędzej, widząc, jak straszliwa rozpętała się burza, poczem rzucili się do gorączkowej pracy.

Burza.

Pioruny poczęły bić w gębę biedną, wystraszoną ziemię. Deszcz ciął, jak brzytwa, grad prał, jak kul karabinowych ulewa, a wicher wiał tak, jak tylko porządny i w dobrym gatunku wicher wiać potrafi. Chmury spełniały swój obowiązek lejąc i lejąc na ziemię całe sikawki wody deszczowej wcale niezłej w smaku. Wisła szumiała bez zastanowienia i burzyła się, jak rewolucja w Albanji. Drzewa przeginane wichrem, stawały nagle do góry nogami na znak. że nie tylko ludzie umieją fikać salto-mortale...

Zdawało się, że śmierć już bliska...

VI.

Wtem trzask...

Pif paf!!!

Statek zatoczył się, bo marynarze byli jeszcze pijani i nabił się na rafę, jak Japończyk popełniający harakiri.

Krzyk, lament, skowytanie Jeruzalemczyków!

— Ratunku! toniemy!

Okręt nabity na rafę spłoszył się tym krzykiem zerwał się i pobiegł dalej, ale przez dziurę w swojej dziewiczem dnie wpuścił wodę do wnętrzności i począł się pławić.

I znowu...

O mężna płci kobieca! O bohaterskie czyny najwaleczniejszej z niewiast.

Znowu ty wspaniała matrono?

Po raz drugi pani Paluszkiewiczowa uratowała okręt od śmierci w porywie wdzięczności za to, że odważył się wieźć na swoim grzbiecie tak okropne cielsko.

Wtoczyła się pod pokład, na dno.

Zdjęła szaty.

Legła brzuchem ogromnym, jak góra na dziurze wybitej przez podłą rafę i powstrzymała napływ wody do parostatku.

Wszystko odetchnęło...

Wyczerpano wodę, przyczem pani Paluszkiewiczowa wypiła jej połowę, by ułatwić tę pracę i pospieszono ku brzegom, by uwolnić od obowiązku heroiczną kobietę, która pełna zapału wciąż zatykała otwór — w razie znużenia zmieniając pozycję. Przez chwilę zasłoniła go własną piersią, poczem siadła na nim, twierdząc, że pysznie jej to zrobi na przeczyszczenie żołądka.

Nabawiła się tylko kataru i kichała tak głośno, że pioruny zawstydziły się i zamilkły nie mogąc jej zagłuszyć. Wycierała też nos w żagiel, którego używała zamiast chustki do nosa, a który wyhaftowany własnoręcznie przez kapitana ofiarowała jej w dowód wdzięczności załoga.

Przez pół godziny pijani jeszcze marynarze nie mogli w żaden sposób dobić do brzegu, w końcu jednak udało im się to jako tako i zarzucono kotwicę, która jednak naturalnie jak wszystkie kotwice nie chciała się zaczepić. Taka już podobno była nieśmiała, że wszelka zaczepka zdawała jej się czemś nieprzyzwoitem.

Burza ucichła, a okręt osiadł na brzegu.

Pasażerowie wyskoczyli, a marynarze pozostali na statku. W dali malował się malowniczy Tyniec przepełniony po brzegi ślicznymi krajobrazami i widokówkami.

— Patrz, jaki fajn landszaft — cmokali Żydzi.

— Oj, żeby ja był majlarz, jabym zaraz jego namajlował i zrobił geszeft..

— Ty nie mów o „bussines" przy takie cudne pogode. Czy nie widzisz, jak to Bóg wszystko ślicznie urządził?...

Tak mówili i zachwycali się bardzo...

(Dokończenie nastąpi).

Godzina wieczorna.



Tyś piękna, jak wieczór w poświacie lampjonów
tyś dziwna, jak bajka widziana we śnie...
Jak Arab wybiję ci tysiąc pokłonów
i powiem pokornie: Twym sługą być chcę.

Na tle tej zielonej, fałdzistej kotary
wykwitasz, jak biały, niezwykłych snów kwiat
ty jesteś jedynem wyznaniem mej wiary
mej wiary, że miłość to wszystko, to świat.

Więc kochaj mnie panno wysmukła, jak trzcina
więc pozwól całować twe usta, twój kark...
Mrok cichy nad nami swe skrzydła rozpina,
mrok słodki, wieczorny bez żalów, bez skarg.

Dziś wszystko tak dobre, dziś wszystko tak słodkie,
żo chciałbym przytulić do piersi sto miast,
miljonom dać szczęście — to mgliste i wiotkie
poczucie uroku i bajki i gwiazd.

Latarnia twa gaśnie, jakby ją mrok zmącił
abażur ją słoni, jak ciebie płaszcz wpierw
— zrzuciła płaszcz z ramion, świat słońce z bark strącił
— Chodź, kochaj! Weź serce i wcałuj mi w nerw!

Przez telefon



Halloo! proszę — kto mnie woła...
To ty chłopcze! witaj mi...
Kocham ciebie... Czym wesoła?...
Mą radością jesteś ty.

Ten telefon to skarb przecie.
Dzyń dzyń — dzwonię i już jest!...
Ten co stworzył go kobiecie
miał doprawdy śliczny gest.

Sto całusów, kosz pieszczoty...
Co? czy kocham? Pytasz znów...
Ależ ty mój cudzie złoty
Mój — rozumiesz! Pan mych snów!

A więc przyjdziesz? Czekam miły —
pragnę twoich krwawych ust.
Wiesz? te suknie mnie znużyły —
rozebrałam się z tych chust.

Tak malutki... Bez niczego,
całkiem naga, całkiem bez
Co? szalejesz? Więc dość tego..
Dość słów.. przychodź! Dzyń... tu kres..

Niepoprawny kobieciarz.



1) Henryk, chłopiec prześliczny, namiętny i słodki
lubił bardzo kobietki, flirciarki, pieszczotki.
Kochankę miał, jak złoto, lecz czasem niestety
zamiast do niej, szedł sobie do innej kobiety.

Nie był wierny ten Henryk i zdradzał swą małą
gdy mu się spodobało czyjeś inne ciało,
— i teraz z drugą damą okropnie się pieści
podziwiając jej wdzięki i jej czar niewieści.



2) Lecz legalna kochanka wiedziała już o tem
i kiedy ją odwiedził w cichym buduarze
dwa stołki mu na głowę rzuciła z łoskotem
i zęby mu rozbiła w samym środku twarzy.

Potem karcąc go słusznie, mówiła mu dużo
o tem, jak to nieładnie, jak to się nie godzi
zdradzać swoją dziewczynkę, swoją białą różę,
i z miłości ją brzydko okradać, jak złodziej.



3) Spotkały się następnie te dwie piękne panie
a on śmiejąc się cicho zdala patrzał na nie.
Dwie rywalki jak wściekłe, z wzniesionymi głowy
oskarżały się wzajem niemiłemi słowy,

Psy szczekały chwytając je za drobną piętę,
lecz one nic nie czuły okrutnie zawzięte
i rzekły: Nie ustąpi kochanka rywalka?!
Niech roztrzygnie tą kłótnię siostrobójcza walka.



4) I dalejże sukienkę zrzucać po sukience,
rękawice do boksu nawdziewać na ręce
Już nagie, jak dwie nimfy, i jak Mars rozżarte
wszystko na los stawiają i na jedną kartę.

Biją się tak straszliwie, że aż trzeszczą kości
i to wszystko z powodu tej głupiej miłości,
— a kochanek tymczasem korzystając z chwili
z trzecią znów się całuje i miłośnie kwili.



5) Zobaczyły to obie kobiety szalone
i jak strzała pobiegły bez zwłoki w tą stronę
i w furji za tą trzecią najwstrętniejszą zdradę
zbiły mu bezlitośnie tak zwany... (pośladek)

Stłukły go i zmiażdżyły na szczątki, na drzazgi
obrywając guziki i inne drobiazgi
i zdyszane, spłakane, znużone t drżące
poszły razem za miasto odetchnąć na łące.



6) A on smutny szedł w miasto. Bolało go bardzo
że jego cne kochanki, tak nim srodze gardzą.
Bolały go też gnaty obite okrutnie
więc mu było ponuro i było mu smutnie.

Wtem ujrzał śliczną nóżkę i cudną pończoszkę,
którą jakaś dziewczynka pokazała troszkę
więc odrzucił swe kule i zerwał bandaże
i wkrótce tę znów pieścił w cichym buduarze.

Szczyt uprzejmości.

Wejść do podziemi Sukiennic z bardzo pilnym i niecierpiącym zwłoki interesem i – ustąpić pierwszeństwa osobie starszej.

Szczyt rozczarowania.

Gdy kobieta podniesie listek figowy i – znajdzie tam... figę.

Szczyt roztargnienia.

Gdy kucharz zamiast rosół posolić – popieprzy.. kucharkę.

Szczyt odwagi.

Po weselu zaprosić teściową – na wspólne mieszkanie.

Szczyt chyżości.

Tak prędko biegać naokoło stołu, aby siebie samego złapać i pocałować siebie w... plecy.

Szczyt miłości.

Wtedy. kiedy on chce i ona chce i jest do tego posag.

Nieporozumienie.

W czasie spowiedzi wielkanocnej zgłasza się do nowicjusza zakonnego pewien grzesznik i prosi o absolutorjum za popełnione uwiedzenie.

Młody księżyna jest w kłopocie, gdyż nie wie jaką pokutę nałożyć na grzesznika i zwraca się z pytaniem do księdza spowiadającego w sąsiednim konfesjonale:

– Co ksiądz dobrodziej daje za uwiedzenie?

– 50 do 100 miljonów!

Z radości.

– Wie pan, panie Hesensaft, że jak przyjdzie ta sobota, to ja całą noc oka nie mogę zmrużyć...

– Dlaczego pan oka nie może zmrużyć?...

– Bo ja bardzo się lubię wyspać, a cały tydzień, to ja nie mam czasu, tylko w sobotę. Oto ja już w piątek tak się cieszę, że w sobotę się wyśpię, że ja z tej radości całą noc spać nie mogę...

Cudowny lekarz.

Pewien nauczyciel na głębokiej prowincji leczył ludzi homeopatją i metodą ks. Kneippa, osiągając nadzwyczajne wyniki u pacjentów. Sława jego rozeszła się po całym powiecie, a nawet po sąsiednich powiatach i ludzie poczęli masowo napływać do wsi, gdzie mieszkał ów nauczyciel, aby u niego zasięgnąć porady. Doszło wreszcie do tego, że lekarze poczęli się uskarżać na brak pacjentów, a owego nauczyciela poczęło uważać za cudotwórcę.

Doniesienia do władz, jakie wnosili lekarze na nauczyciela za „kurfuszerkę" nie odnosiły skutku, gdyż tenże nie pobierał od chorych żadnego honorarjum, a środki zapisywane chorym nie mogły działać szkodliwie.

Stugębna fama rozniosła wreszcie po całym kraju wiadomość, że nauczyciel ów leczy każdą chorobę bez wyjątku.

Wiadomość ta doszła i do Izby lekarskiej we Lwowie, gdzie postanowiono ostatecznie zdemaskować kurfuszera i raz na zawsze położyć kres jego niepowołanej działalności.

Z ramienia Izby wybrało się więc dwóch lekarzy do wsi, gdzie mieszkał nauczyciel i przedstawiwszy się jako pacjenci, zażądali porady.

– Cóż panom brakuje? – spytał nauczyciel, który intuicyjnie odgadł, że ma do czynienia z ludźmi zdrowymi, którzy go chcieli – jak to mówią – nabrać i skompromitować.

– Widzi pan – mówił jeden z lekarzy – ja jestem zupełnie zdrów, tylko mój kolega jest ciężko chory i to na chorobę, której żaden lekarz nie może zaradzić...

– Cóż to za choroba? – spytał nauczyciel?

– Bardzo ciekawa! Mam wrażenie, że i pan nie poradzi, choć pan twierdzi, że leczy każdą chorobę... Otóż mój kolega cierpi na dwie oryginalne choroby, a mianowicie: *niema zupełnie smaku i wiecznie kłamie...* Czy byłby pan zdolny do podjęcia się uleczenia tych dwóch chorób?...

– Bardzo chętnie! — odpart nauczyciel – Uleczę tego pana w przeciągu kilku minut!... Proszę chwileczkę poczekać, a spreparuję dwie pigułki, które z miejsca uzdrowią pacjenta...

To mówiąc, wyszedł nauczyciel na chwilę, zostawiając obu lekarzy, nacierających ręce z radości, iż udało im się wreszcie zdemaskować szarlatana.

Po chwili wrócił nauczyciel z dwiema małemi pigułkami.

Racz pan rozgryźć jedną z tych pigułek – powiedział, podając pigułkę rzekomo choremu lekarzowi.

Lekarz włożył pigułkę do ust i począł ją rozgryzać zębami. Po chwili twarz mu się skrzywiła z obrzydzenia i splunąwszy, zawołał: „Ależ to jest gnój koński!"

– A widzi pan – rzekł nauczyciel – Odrazu wyleczyłem pana z obydwóch jego chorób! *Nabrał pan smaku i mówi pan prawdę.*

Nowa godność.

– Zaręczyłaś się? Któż jest twój narzeczony?

– Taki sobie nadzwyczaj zwyczajny nadzwyczajny członek Akademji umiejętności.

■ ■ ■

Argument.

– Dlaczego pan jesteś przeciwnikiem muzyki na cztery ręce?

– Ach pani! Przecież to grzech rzucać się we dwoje na bezbronnego człowieka.

■ ■ ■

Znawca muzyki.

„Po koncercie pytają p. Nowobogackiego, który kawałek najlepiej mu się podobał? Nowobogacki, który niedawno zwiedzał Włochy odpowiada szybko – Largo Maggiore było bezsprzecznie najlepsze

WILEK.

Fatalny list.

Humoreska.

Dr. Zębowicz jest jednym z najzdolniejszych dentystów w mieście, a zarazem jednym z ludzi, mających najmniej czasu wśród ludzi całego świata. Urządza zbiórki uliczne, wygłasza monologi na koncertach dobroczynnych, organizuje jubileusze i pochody narodowe, rysuje afisze na przedstawienia amatorskie, pośredniczy w aferach honorowych, godzi powaśnione małżeństwa, asystuje przy ślubach, chrzcinach i pogrzebach, organizuje wszystkich niezorganizowanych, jeździ w deputacjach do Warszawy i jednem słowem nie ma literalnie nigdy chwili czasu.

W godzinach wolnych od tych zajęć ordynuje w złocie, kauczuku i porcelanie z bólem i bez bólu, oraz systemem amerykańskim na raty.

Pacjenci nigdy go nie mogą prawie zastać w godzinach ordynacyjnych, ale że dr. Zębowicz ma ogromne wzięcie, więc czekają na niego nieraz przez kilka dni, dopóki się nie zjawi.

W tych rzadkich godzinach ordynacyjnych załatwia dr. Zębowicz całą swoją rozległą korespondencję, dyktując maszynistce, którą specjalnie w tym celu zaangażował. Naturalnie, że listów tych nie ma czasu nigdy przeglądać, lecz podpisuje i wysyła, nie czytając je wcale. Na dobitek zaręczył się przed miesiącem ze znaną śpiewaczką operową w Warszawie.

Związek ten nie doszedł niestety do skutku dzięki roztargnieniu dr. Zębowicza i dzięki źle orjentującej się maszynistce, którą zaangażował od niedawna do pisania listów za jego dyktatem.

Słowa dr. Zębowicza: „Będzie pani pisała *wszystko* co dyktuję w czasie ordynowania" – pojęła maszynowa panna zupełnie fałszywie.

Oto ów list nieszczęsny podyktowany do swojej narzeczonej w czasie plombowania zęba pacjentce. List, który pisała maszynistka pod dyktatem, a dr. Zębowicz w braku czasu podpisał i wysłał, nie czytając wcale.

List ten, jak już wspomnieliśmy, doprowadził do zerwania zaręczyn.

„Droga Pani Stefo!

Z serca pani dziękuję za miły liścik, który wczoraj otrzymałem. Niech-że pani oprze lepiej głowę o fotel. Swobodnie! Że pani odniosła świetny sukces na ostatnim koncercie, nie dziwię się wcale. Przy pani fenomenalnym głosie, nic to dziwnego, ale niech-że pani otwiera lepiej usta, to zobaczymy. Naturalnie! Wszystko djabła warte! Pani głos nie przestał jeszcze oczarowywać publiczności... Alež to prawie już fistu a!... Gdy przeczytałem nadesłany mi program koncertu, wiedziałem zaraz – uważać!... To będzie trochę bolało, ale przejdzie! I czy droga pani Stefa zamyśla dla mnie wycofać się ze sceny?... Naturalnie, to djabła warte trzeba zaraz wyrwać!... A przecież ten głos pani i mnie przykuł do jej rydwanu i oczarował na całe życie. Gotowa pani dostać ropnego zapalenia dziąseł, jeśli pani nie będzie codziennie ust płukać. Naturalnie, że to nie pachnie! Z duszy cieszę się na pani odwiedziny w Krakowie. Jak pani na drugi raz przyjdzie z taką zanieczyszczoną jamą ustną, to panią poprostu za drzwi wyrzucę. I pani się chce zaliczać do inteligencji!... Skandal! Co do posagu, to uważam to za kwestję uboczną. Stanowczo wolałbym złoto. Jedynie złoto coś warte. Proszę więc mi zupełnie zaufać. Mówię pani poraz ostatni, aby pani przestała mnie kąsać po palcach. Czy tęskni pani za mną? O, pani Stefo! Weź pani do płukania czteroprocentowy roztwór solny. To pomaga. Nie przestanę twierdzić, że jesteś pani koroną mego życia. Ależ ta korona do djabła się chwieje i trzeba pani nową nałożyć! Stworzę pani życie bez trosk i zawodów. Trzeba tylko antyseptycznie brać się do rzeczy. Tylko ja zapewnić pani chcę szczęście, pani Stefo!... Czemuż pani wcześniej nie poszła do dentysty? Gdy przypomnę sobie jej oczy jak chabry, usta jak maki purpurowe i całą jej postać!... Proszę uważać!... Zacznę trochę wiercić! To choć jesteśmy oddaleni nieubłaganą przestrzenią, to przecież mi się zdaje, że przyciskam moją drogą Stefę do stęsknionego serca. To nie będzie bolało.. Wiercenie tez nie jest takie straszne!... Pani list, droga moja Stefo, czytałem coś trzy razy. Ależ to się przedstawia fatalnie! Jak się temu nie zaradzi zaraz, to z dnia na dzień będzie gorzej. Ściskam i całuję obie rączki. Radzę po przyjacielsku nie zapomniec codziennie ust wypłukać. Liczę na kilka słów odpowiedzi, czem serdecznie mnie pani ucieszy. Wszystko już pani powiedziałem, więc proszę mnie nie nudzić. Do widzenia! Na kogo teraz kolej? Proszę! szczerze kochający

Józef".

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor T. Borzęcki. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein

Spacer letni.



– Po tej złotej aleji w tem błyszczącem mieście
tak miło się przechadzać „en deux“ z tobą panie...
Uderzcie w dźwięczne dzwony i flagi wywieście,
bo dziś wielkie jest święto, co się zwie kochanie!

Tak długo mnie błagałeś o prezent ze serca...
jak chłopiec do aniołka modli się o... gwiazdkę
Dziś czuję, że cię kocham i że los szyderca
tym razem mi cudowną zesłał opowiastkę...

Jakąś bajkę o szczęściu szepcą mi te liście
szeleszczące nad nami w tej słodkiej alei –
Jest tak ciepło, tak jasno i tak uroczyście –
Świat jest taki zielony, jak barwa *nadzieji*...

Mam *nadzieję*, że będzie nam dobrze we dwoje...
i że miłość ta będzie jak słońce i lato.
Całuję kwiat ten miękki, jakby usta twoje...
Za czas gorzkich zawodów, ty mi bądź zapłatą.